

Teatr Ibsena, teatr Siemaszkowej, teatr Rzeszowa

Nowy jubileuszowy sezon w Teatrze im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie, poświęcony pamięci patronki teatru, otwiera wyjątkowa premiera. Powodów wyjątkowości jest kilka. Przede wszystkim, to pierwszy od niemal siedemdziesięciu lat dramat Henrika Ibsena inscenizowany na tej scenie - pisze do e-teatru Katarzyna Joanna Maćkała.



"Nareszcie! Po całym szeregu sztuk chybionych, bezcelowych i pustych, które zgoła niepotrzebnie wyszły spod piór autorskich i równie niepotrzebnie przesunęły się przez krakowską scenę - zobaczymy w sobotę dzieło wielkiej miary, poczęte w głębiach jednego z najpotężniejszych umysłów twórczych naszej epoki." Lucjan Rydel, "Czas", 1900 r.

"Hedda Gabler" to sztuka, w której przed laty święciła triumfy patronka teatru, a w latach 1945-1947 jego dyrektor, Wanda Siemaszkowa. Właśnie ona, jako reżyserka, wystawiła w Rzeszowie Ibsena w roku 1946, w czasach, kiedy w Polsce nie był grany wcale, pokutując na swoistym indeksie aż do roku 1954 (wyjątkiem były spektakle "Wroga ludu" grane na gruzach zniszczonej przez "wrogów ludów" Warszawy). Wówczas, u początku działania stałej, zawodowej sceny w Rzeszowie, Siemaszkowa wystawiła "Dom lalki" - być może najbardziej kontrowersyjną sztukę drugiej połowy XIX wieku, dramat, w którym sama artystka wiele lat wcześniej olśniewała publiczność całego kraju, w tym Rzeszowa, gdzie wystąpiła gościnnie jako Nora w roku 1905. "Głos Rzeszowski" pisał wtedy, że swoją grą wywołała "ogólny zachwyt, jaki bezustannie wyrażano burzą oklasków". Swoją Norę pokazywała Siemaszkowa także na deskach teatrów za granicą, m.in. w Pradze czy Zagrzebiu. Inscenizacja z 1946 r., "nosząca na sobie piętno znakomitej pracy reżyserskiej Wandy Siemaszkowej - jest osiągnięciem artystycznym wysokiego gatunku", napisała Wandę-Błomska w "Dzienniku Rzeszowskim".

Henrik Ibsen to po Szekspirze najczęściej grany dramaturg na świecie. Jego dramaty zrewolucjonizowały teatr, otwierając sztuce gry aktorskiej zupełnie nowe drogi rozwoju. I to właśnie czasy wielkich odwórców: Siemaszkowej, Adwentowicza, Wysockiej są okresem największej popularności Ibsena w Polsce. Późniejsza recepcja jego twórczości pozostawia wiele do życzenia, ale przed odzyskaniem niepodległości norweski dramaturg, hołubiony przez gwiazdy sceny, grany był u nas często na życzenie publiczności. Chociaż nie zawsze rozumiany - zakończenie "Domu lalki" warszawska prasa uznała za błąd pisarza - jednak gorąco dyskutowany, był Ibsen na ustach wszystkich, którzy chadzali do teatru. "Hedda Gabler", jedna z najtrudniejszych jego sztuk, stała się pierwszym dramatem, w którym przedstawiono tak skomplikowaną i niejednoznaczną sylwetkę kobiety, neurotyczki i dekadentki, pełnej lęków, niecodziennych pragnień i tęsknot. Hedda jest jednocześnie ptaszkiem w klatce jak Nora i cynikiem, pełnym jednak gorącego temperamentu, jakże odmiennym od pani Helmer. Grana na całym świecie przez największe aktorki teatralne i filmowe, chora na nudę Hedda, "zamieniła etykę na estetykę", jak wyraziła się sama Siemaszkowa. Nie dziwi fakt, że tak postępową sztuką mogła wzbudzać przerażenie wśród dziewiętnastowiecznej widowni i obrzydzenie wśród obrzucającej autora rozmaitymi epitetami krytyki. Tak było również w Polsce, na szczęście znaleźli się tacy, którzy bronili dramatu, dostrzegając jego wyjątkowość. Ibsen jest zarazem pogromcą i obrońcą tradycji - jak pisał Feliks Koneczny - "pogromcą w formie, obrońcą w treści (zresztą jak czytelnik woli!)".

Polska premiera "Heddy Gabler" odbyła się w roku 1892 - rok po światowej prapremierze - w Warszawie, a w rolę głównej bohaterki wcieliła się Aleksandra Lüde. Najbardziej błyskotliwymi kreacjami stworzonymi w tym dramacie okazały się jednakże wykonania Ireny Solskiej i Wandy Siemaszkowej. Przyszła "pierwsza polska ibsenistka", jak nazwał Siemaszkową Kornel Makuszyński, swoją popisową rolę w dramacie Norwega "Hedda Gabler" zagrała w szczytowym momencie kariery, w 1900 r., w Krakowie (później grała ją także w Łodzi i we Lwowie). Doskonale, w najdrobniejszych szczegółach sportretowała samolubność, egoizm i niezwykle temperament protagonistki Ibsena. Wykorzystując nawet swój wzrost, wyniosłością wprost górowała nad sceniczną rywalką, Theą. Finezyjnie posługiwała się ostrym akcentem, zmianami tempa, powolnym krokiem czy nerwowymi ruchami, aby wyrazić emocje targające Heddą. Jednocześnie jednak nie odarła tej postaci z nimbu tajemnicy i zagadkowości, ukazując jej złożoną psychologię.

Rzeszowska "Hedda" Anno Domini 2014 [na zdjęciu] to postać zbudowana na kanwie Ibsena, ale osadzona w innym świecie. Uwspółcześnienie realiów sztuki i wzbogacenie jej konstrukcji o nowe elementy uwypukla uniwersalne znaczenie tematyki podejmowanej przez Ibsena. Aż dziw, że dzieło sprzed ponad wieku okazuje się tak aktualne w dzisiejszej Polsce. Premierowa "Hedda Gabler" podejmuje bardzo poważny dialog z widzem, zwłaszcza z widzem młodym, pokoleniem, które w dorosłość wchodziło już po transformacji. Hedda jest tu młodą wyemancypowaną kobietą, którą otacza pustka. W przeciwieństwie do tradycyjnego portretu tej postaci jako przywiązującej wielką

wagę do kwestii materialnych i zewnętrznych, mamy tu do czynienia z wręcz abnegatką. Już sama scenografia jest pozbawiona wszelkiej ornamentyki: białe, czyste ściany, kafelki, lustra, meble owinięte folią wskazują raczej na fobie niż pragnienie otaczania się pięknymi, drogimi przedmiotami. Sama Hedda występuje przez sporą część sztuki w negliżu albo "stroju niedbałym". To raczej Tesman dba o stosowny wygląd, a jego żona jakby dusi się w kostiumie małżonki i mieszkanki pięknego nowoczesnego apartamentu w zrewitalizowanej willi. Hedda idealnie wpisuje się w model współczesnego obywatela krytykowany przez Houellebecqa, czołowego analityka ludzkiej kondycji przełomu wieków, który pisał, że "największy luksus polega na zapewnieniu sobie możliwości unikania innych ludzi": nie może znieść przebywania ciągle z tym samym człowiekiem, toczy rozmowy nawet w toalecie, swoim strojem demonstrowa potrzebę intymności.

Zaskakująco wierna współczesnym relacjom międzyludzkim jest przedstawiona w nowej "Heddzie" "komedia ludzka: on kocha ją, ona kocha jego itd. Galeria postaci celnie nakreśla portret młodego pokolenia: Tesman to typowy półgłówek, wystarczająco mądry, by żyć z doskonale zapewne rozpisanych, grantów - pieniądze jest dla niego kluczem do wszystkich drzwi; Brack to wyluzowany, modnie się noszący Piotruś Pan, jakich dziś chyba więcej niż kiedykolwiek; Eilert jest wyalienowanym hipsterem w stylu stereotypowego studenta polonistyki w powycieranym swetrze, ale drogich butach. Thea mogłaby być studentką geografii, która wyszła za profesora, ale nadal, mimo "śliczności", nie potrafi się dobrze ubrać ani na co dzień, ani od święta. Swoją naiwnością przywołuje na myśl słynną kreację Mii Farrow jako Rosemary. Wśród tej "młodzieży" jest i Berte, pełniąca rolę pomocy domowej, jak się dziś mówi, momentami nawet bardziej demoniczna od Heddy, która wpatruje się w śnieżący ekran jak z filmu "The Poltergeist". Spektakl otwiera zresztą muzyka z "Dziecka Rosemary", w takt której usuwane są ze sceny owinięte w plastikowy worek zwłoki - pomysł ciekawy, ale sugerowane potem wielokrotnie związki Heddy z okultyzmem wydają się mało przekonujące. Obok wymienionych osób dramatu wyłania się Ciotka Tesmana, zagrana brawurowo przez Beatę Zarembiankę, której udało się niesztampowo sportretować tę epizodyczną postać, zwykle bezbarwną i jednoznaczną. Robert Żurek w roli Bracka nie tylko wykazał się głębokim zrozumieniem swojego bohatera, ale i przyprawił dramat szczyptą humoru, docenioną przez widownię. Mateusz Mikoś jako Tesman i Joanna Baran odtwarzająca Theę w pełni wywiązali się z powierzonego im zadania ukazania najbardziej "płaskich" bohaterów tragedii. Paweł Dobek jako Eilert wiernie przedstawił wszystkie czyny i słowa charakterystyczne dla alkoholika, choć w jego kreacji zabrakło jakiegoś błysku, który Lvborga czynił człowiekiem zjawiskowym, więc pozostaje tu niejako zdegradowany. Magdalenie Woleńskiej w roli Heddy udało się udźwignąć ciężar tej szalenie trudnej roli. Nie da się jednak oprzeć wrażeniu, że momentami zmory, jakie dręczą Heddę, schodzą na dalszy plan, a sama jej postać nie została dopracowana. Jakby zabrakło ostatniego pociągnięcia pędzlem, jakby twórcy nie mogli się zdecydować na konkretną interpretację psychologiczną skomplikowanej heroiny. Imitujące Polańskiego wątki grozy nie wskazały drogi, raczej ją dodatkowo zamgliły, być może jednak o to właśnie twórcom chodziło. Ich Hedda jest natomiast z całą pewnością człowiekiem ideałów, niewolnikiem "liści winorośli", odartym z dóbr materialnych - jeszcze bardziej niż u Ibsena. Budzi ze wszech miar różne uczucia, miota się zresztą sama w kłębowisku emocji. Jej zagubienie można w rzeszowskiej "Heddzie Gabler" nie tylko zobaczyć, ale i poczuć, co stanowi nie lada osiągnięcie ze strony twórców.

Rzeszów w czasach przedwojennych borykał się z biedą i wyludnieniem, później został wyniszczony w wyniku wojny. Podnosił się z gruzów w nowym ustroju, stając się miastem wojewódzkim i stolicą pięknego podkarpackiego regionu. To miano stanowiło zobowiązanie i dla władz, i dla mieszkańców w różnych dziedzinach i przejawach działalności, także w kwestii kultury. W gmachu byłego Sokoła, który już za czasów przedwojennych służył tutejszemu mieszczaństwu jako budynek teatralny, otworzono Teatr Ziemi Rzeszowskiej. Początki z pewnością nie były łatwe, ale ów przybytek kultury otrzymał w darze od losu perłę - Wandę Siemaszkową. Objęcie przez wielką teatralną gwiazdę dyrekcji tej instytucji było co prawda epilogiem w karierze artystki, ale prologiem w historii kierowanej przez nią placówki. Swymi dokonaniem tchnęła w nią ducha teatru Pawlikowskiego, a w prowincjonalnym mieście obudziła tęsknotę za teatrem nie tylko wśród jego mieszkańców. Działania te, poparte wysiłkiem i oddaniem późniejszych pokoleń ludzi teatru, którzy przez dziesięciolecia rozwijali potrzeby życia teatralnego Rzeszowszczyzny, sprawiły, że Rzeszów jest dziś prawdziwą teatralną stolicą regionu. "Hedda Gabler", mająca swą premierę w tym sezonie, stanowi niejako hołd złożony patronce tej niezwykłej placówki, położonej na peryferiach jedynie w znaczeniu geograficznym. Po wielu latach od śmierci Siemaszkowej, można tu obejrzeć sztukę, która jest nie tylko ciekawą interpretacją klasyki, pełną "poezji i bólu", jak ujęłaby to Siemaszkowa, ale dowodzi, że miejscowy teatr nawiązuje autentyczny dialog ze współczesną widownią - od niej tylko zależy, jak go poprowadzi.

Katarzyna Joanna Maćkała
Materiał nadesłany
20-10-2014